*Weronika Marczak, Skarb. Rodzina Monet (1)*

Wcześniej tamtego dnia moja kochana babcia zasłabła. Upadła z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach. Zrobiło się zamieszanie. Mama wołała do mnie, żebym uważała na ostre skorupki rozbitego naczynia, sama klęcząc w nich przy babci, której szeroko otwarte oczy i upiornie zbielała twarz prześladowały mnie potem w koszmarach. Bardzo chciałam pomóc, ale ostatecznie poprzestałam na usuwaniu się mamie z drogi, gdy w pośpiechu szykowała się do wyjścia. Pamiętam, jak okrywała ramiona babci płaszczem i wyprowadzała jej słabą postać z mieszkania, rzucając do mnie przez ramię, bym nie czekała i najlepiej kładła się spać, bo już późno, a jutro mam przecież szkołę. Mówiła, że wszystko będzie dobrze, i na koniec nakazała zamknąć za sobą drzwi na klucz.

Kilka długich godzin później otworzyłam je dwóm ponurym panom policjantom. Stałam przed nimi w znoszonej koszulce i kraciastych spodenkach. Przecierałam ciążące mi powieki, gdy jeden z nich przekazywał napiętym głosem, że w samochód mojej mamy wjechał pijany kierowca. Po długich godzinach spędzonych w szpitalu wracały z babcią do domu.

Nie przeżył nikt.

Moje serce zatrzymało się na chwilę, a potem zabiło mocniej. Nagle moje próby rozbudzenia przerodziły się w głęboką rozpacz. Nawet nie wiem, w którym momencie zjawiła się opieka społeczna. Ból, jaki w tamtej chwili odczuwałam, nie powinien towarzyszyć nigdy nikomu, a już na pewno nie czternastoletniej dziewczynie. Straciłam mamę i babcię, najbliższe mi osoby, swoją jedyną rodzinę.

Byłam pewna, że będę się teraz błąkać po domach zastępczych jak te wszystkie sieroty, które znałam z książek i filmów. Zamiast tego wkrótce usłyszałam coś, co zmieniło moje życie jeszcze bardziej.

Vincent Monet będzie moim nowym opiekunem prawnym. Przez jedną bolesną chwilę myślałam, że odnalazł się właśnie mój biologiczny ojciec, o którym nie wiedziałam nic. Okazało się jednak, że Vincent to mój przyrodni brat. Usłyszawszy tę rewelację, aż zakręciło mi się w głowie. Brat. Miałam brata. Wychowywana przez całe życie jako jedynaczka, teraz dowiedziałam się, że mam starszego brata, który zgodził się przyjąć mnie pod swój dach.

Wkrótce siedziałam w samolocie, zmierzając ku nowej rzeczywistości. Wtedy dysponowałam już obszerniejszymi informacjami. Wiedziałam, że braci miałam aż pięciu, że wszyscy byli ode mnie starsi i wciąż mieszkali razem w rodzinnym domu w Pensylwanii. Czułam, że robi mi się słabo, bo do tej pory nie miałam w swoim życiu do czynienia z wieloma mężczyznami. Wychowywana bez ojca, chyba nigdy nie poznałam choćby jednego wujka. Jedyni dorośli przedstawiciele płci przeciwnej, których znałam i w miarę regularnie widywałam, to kilku nauczycieli w szkole, mój lekarz i sąsiad, który udawał, że nie widzi, jak podbierałam czereśnie z jego ogrodu.

Podróż minęła mi szybciej, niżbym sobie tego życzyła. Te niecałe osiem godzin spędzone nad Atlantykiem tylko spotęgowały moje zdenerwowanie. A gdy pilot oznajmił, że już za kilka minut podejdziemy do lądowania, mimowolnie zaczęłam się trząść. Siedząca obok mnie kobieta pomyślała zapewne, że ta reakcja to rezultat strachu przed lataniem, i rzuciła mi kojący uśmiech. Cóż, dużo bym dała, żeby przyczyna mojego niepokoju była tak błaha.

Stałam w kolejce do kontroli celnej, zaciskając obie dłonie na pasku wiszącej na moim ramieniu sportowej torby. W uszach słyszałam dudnienie swojego spanikowanego serca i zdawało mi się, że jestem o krok od zawału. Od czasu do czasu starałam się brać dyskretne, głębokie wdechy, żeby się uspokoić. Gdyby ktoś z tłumu ludzi wokół uważnie mnie obserwował, na pewno pomyślałby sobie, że przemycam coś nielegalnego. A co, jeśli urzędnicy nie przepuszczą mnie przez granicę, bo wydam im się podejrzana?

Zagryzałam wargę tak mocno, że aż zabolało. Skrzywiłam się i szybko oblizałam spierzchnięte usta, które ostatnimi czasy były w opłakanym stanie. Od kiedy życie, które znałam, się skończyło, na przemian płakałam i dawałam pożerać się nerwom, dlatego mój brzydki nawyk żucia warg bardzo się nasilił.

Pomadka ochronna leżała gdzieś w kosmetyczce upchniętej w wielkiej walizie, do której musiałam spakować prawie cały swój świat. Okropne to było uczucie, gdy po wszystkim stanęłam w progu mieszkania, w którym żyłam z mamą i babcią niemal od zawsze, i zrozumiałam, że oto straciłam dom w każdym tego słowa znaczeniu. Jego właściciel złożył mi najszczersze kondolencje, po czym od razu poprosił o opróżnienie go. Nie mieściło mi się w głowie, że moja noga stała w nim wtedy po raz ostatni. Bardzo doceniłam pomoc empatycznej pracownicy opieki społecznej, która z ogromną cierpliwością i łagodnością wyręczyła mnie w tej przykrej czynności, podczas gdy ja sama tylko rozglądałam się bezradnie po kątach, nie wiedząc, w co włożyć ręce.

Westchnęłam cicho i rozejrzałam się wkoło. Wśród otaczających mnie ludzi miałam nadzieję dostrzec kogoś tak samo samotnego jak ja. Zauważyłam kilku podróżników bez towarzystwa, ale żaden z nich nie sprawiał wrażenia podobnie zagubionego. Poza tym przeważały tu grupy – znajomych, par, a także rodzin z dziećmi, na których widok czułam ucisk w klatce piersiowej.

Wysunęłam z kieszeni komórkę i zerknęłam na ekran. Żadnych wiadomości ani nowych połączeń. Nikt nawet nie zapytał, czy doleciałam. Wtedy okrutna rzeczywistość wyszeptała mi do ucha powód tego milczenia: Hailie Monet, nie pozostawiłaś za sobą nikogo, kogo by to obchodziło.

Kiedy wreszcie przyszła kolej na mnie, starszy urzędnik zerknął na moje zdjęcie w paszporcie, po czym zadał mi jakieś proste pytanie, na które odpowiedziałam drżącym, zachrypniętym głosem. Na szczęście nie był nadto podejrzliwy i z sympatycznym uśmiechem powitał mnie w Stanach Zjednoczonych.

Odczekałam swoje przy taśmie z bagażami. Gdy nadjechała moja ciężka walizka, pomógł mi z nią pewien mężczyzna, którego kojarzyłam z samolotu. Kiedy wymieniałam z nim uprzejmości, moje uszy ucieszył jego mocno brytyjski akcent. Po chwili ów człowiek zniknął w tłumie, przepadł na zawsze w tym wielkim kraju, a ja poczułam, że wraz z nim zerwały się moje ostatnie, symboliczne więzi z Anglią.

Zmęczonym wzrokiem omiotłam stojącą u mego boku ciemnozieloną torbę na kółkach, którą babcia zawsze zabierała na wyjazdy do uzdrowiska. Potrzebowałam chwili, by zebrać się w sobie i złapać za jej uchwyt.

Mechanicznym ruchem wyciągnęłam komórkę, próbując ignorować lęk kotłujący się w moim sercu. Na widok wiadomości wysłanej z długiego, nieznanego mi numeru najpierw się ono zatrzymało, a potem zakołatało przeciągle. To mój brat napisał do mnie: „Czekam w hali przylotów, obok apteki”. Po prostu tyle, nic więcej. Żadnego przywitania, pozdrowień czy żartu dla rozluźnienia atmosfery, nawet głupiej emotki.

Jedną dłonią podtrzymywałam torbę na ramieniu, a palce drugiej zacisnęłam mocno na uchwycie walizki. Stawiałam powolne kroki w stronę rozsuwanych drzwi, a całe moje ciało napinało się z każdym kolejnym coraz mocniej i mocniej. Czułam, jakbym w nieśpiesznym tempie wkraczała do lwiej paszczy.

Właśnie tak, szeptałam do siebie w myślach, głowa do góry. Przed samym przejściem przystanęłam na chwilę, by odrzucić na plecy zawadzający mi warkocz i upewnić się, że na pewno wcisnęłam telefon do kieszeni bluzy, a potem jeszcze tylko wypuściłam powietrze z ust i ruszyłam dalej.

Hala przylotów to było potężne pomieszczenie pełne gwaru generowanego przez kręcących się tu podróżujących. W nozdrza uderzyły mnie mieszające się zapachy dochodzące z licznych restauracji i kawiarni, ludzie wpadali sobie w ramiona, śmiali się na widok swoich rodzin. A ja, gdyby to było możliwe, chyba wycofałabym się stąd i najlepiej znowu wsiadła do samolotu, żeby zabrał mnie z powrotem do rodzinnego kraju.

Wtedy obok witryny znanej na całym świecie sieci restauracji fastfoodowych dostrzegłam charakterystyczny symbol apteki i mrużąc powieki, pośpieszyłam w tamtą stronę. Mój wzrok przesunął się po twarzach stojących tam osób, ale nie zauważyłam, by czyjeś oczy rozbłysły na mój widok. Wszystkie spojrzenia obojętnie się po mnie prześlizgiwały, a ja nie wiedziałam nawet, za kim się rozglądać, więc w końcu spuściłam brodę, żeby przynajmniej skupić się na stawianiu przemyślanych kroków, aby czasem nie zahaczyć butem o kółko walizki i się nie wywrócić.

– Hailie.

Zatrzymałam się i odwróciłam gwałtownie. Pierwsze, co zobaczyłam, to szpic płytkiego dekoltu w serek granatowej polówki mężczyzny, który stał teraz tuż przede mną. Zadarłam głowę i spojrzałam w ciepłe błękitne oczy, które wpatrywały się we mnie zaskakująco przyjaźnie.

Otworzyłam usta, by się przywitać, ale zanim wydusiłam z siebie choćby słowo, ponownie je zamknęłam. Nawet nie znałam imienia tego człowieka.

– Dobrze cię widzieć – przywitał się, od razu częstując mnie próbką swojego amerykańskiego akcentu. Wyciągnął też ręce i zamknął mnie w uścisku. Wszelkie gesty wykonywał powoli, chyba z rozmysłem, bo nie chciał mnie spłoszyć, a jednocześnie nie brakło im naturalności. Jakbym naprawdę była jego siostrą. Taką, którą zna od zawsze i odbiera z lotniska po dłuższej rozłące.

Zaskoczył mnie tak miłym powitaniem i nie mogę powiedzieć, że mi się nie spodobało. Od śmierci mamy i babci nikt mnie nie przytulał. Na dodatek on tak ładnie i świeżo pachniał, a w jego ramionach poczułam stabilność i siłę, na których poważny niedobór cierpiałam ja sama, zwłaszcza teraz.

– Jestem Will – przedstawił się, gdy już się ode mnie odsunął. Przechylał brodę w dół, zapewne, by widzieć wyraz mojej twarzy, który starałam się dyskretnie przed nim ukryć. Wyczuwałam bowiem, że jego oczy, poza ogólnym urokiem, charakteryzują się też nie lada bystrością.

Zajęłam się analizą stworzonej w głowie listy moich nowych braci, w której wciąż się gubiłam. O ile dobrze pamiętałam, Will nie był najstarszy z rodzeństwa.

– To Vince został twoim opiekunem prawnym – pośpieszył z wyjaśnieniami, jakby czytał w moich w myślach. – Miał cię odebrać, ale coś mu wyskoczyło w pracy. Często mu się to zdarza, jeszcze się przyzwyczaisz. Na pewno go dzisiaj poznasz.

Machnął też dłonią, podkreślając nieistotność tego tematu, a ja skinęłam ze zrozumieniem. Szczerze, w tym momencie było mi obojętne, który z nich po mnie przyjechał. Pragnęłam już tylko wydostać się z tego zatłoczonego lotniska, dlatego gdy Will zaoferował, żebym coś zjadła w jednej z knajpek, bo droga do domu miała nam zająć dobre dwie godziny, podziękowałam i uprzejmie, acz stanowczo odmówiłam.

Will otworzył usta, żeby postawić na swoim, ale ostatecznie się rozmyślił i ku mojej uldze odpuścił. Zerknął na tarczę wypasionego zegarka, który błyszczał elegancko na jego lewym nadgarstku, po czym tę samą rękę wyciągnął po mój bagaż. Nie dość, że przejął ode mnie walizkę, to jeszcze się uparł, żebym oddała mu również swoją torbę na ramię. Był głuchy na moje protesty i w końcu, po raz pierwszy od dłuższego czasu, mogłam odetchnąć, pozbywszy się całego podróżnego balastu. Szłam za nim, obserwując, z jaką wprawą niesie moje bagaże.

Gdy wyszliśmy na dwór, wzięłam kolejny głęboki, głośny wdech. Przymknęłam powieki, czując lekką bryzę na twarzy. Pierwszy raz w życiu stałam na innym kontynencie i zdecydowanie wyczuwałam w powietrzu trudną do opisania różnicę. Ameryka po prostu pachniała inaczej, wyraziściej.

Will zaprowadził mnie do swojego auta, które było czarne, wielkie i luksusowe. To musiał być jakiś jeep, ale wolałam nie wychylać się z nazewnictwem, bo moja wiedza o motoryzacji oscylowała w okolicach zera. W każdym razie był to samochód, jakim zdecydowanie nie zwykłam podróżować. Przeżyłam też chwilę zdezorientowania, gdy mężczyzna otworzył mi drzwi po prawej stronie, bym zasiadła na miejscu pasażera. Głupia zapomniałam, że w Stanach obowiązuje ruch prawostronny. To była pierwsza rażąca różnica między moją rodzinną Anglią a tym nowym dla mnie krajem, którą odnotowałam.

Wyjazd z lotniska wiązał się z pokonaniem istnego labiryntu dróg, co wymagało od Willa chwili maksymalnego skupienia. Dzięki temu mogłam kilka razy zawiesić na nim dłuższe spojrzenie bez obawy, że je odwzajemni. Mój nowo poznany brat ciągle wprawiał mnie w osłupienie. Nie wiedziałam wcześniej, czego się spodziewać, ale żadne z różnorakich wyobrażeń mojego nowego rodzeństwa, które pojawiały się w mojej głowie, nie dorastało do pięt oryginałowi. Już nie chodzi o to, że Will był przystojny, bo przecież był moim bratem i nie poświęcałam czasu na szczegółową ocenę jego atrakcyjności, ale na przykład miał w sobie jakąś taką naturalną schludność, którą mój wrodzony perfekcjonizm bardzo doceniał.

Włosy w kolorze ciemnoblond może i sprawiały wrażenie rozczochranych, jednak coś mi mówiło, że ich właściciel sam ułożył je, by tak wyglądały. Byłam też uprzedzona do mężczyzn z brodami, bo budziły one mój niepokój, ale akceptowałam delikatny i idealnie zadbany zarost Willa. Swoje błękitne oczy przysłonił teraz szpanerskimi okularami przeciwsłonecznymi, choć na niebie raczej się chmurzyło.

Wkrótce wyjechaliśmy na prostą drogę i wtedy nawiązałam z nim coś na kształt rozmowy. Na jego uprzejme i bardzo ogólne pytania odpowiadałam krótko i cicho, z żałością odkrywając, jak bardzo zachrypł mi głos, podczas gdy jego własny był wyraźny i zdradzał nieskończone pokłady pewności siebie.

Dowiedziałam się, że Will ma dwadzieścia cztery lata i że z rodzeństwa starszy jest tylko Vince (dopiero po chwili zorientowałam się, że to skrót od Vincenta), który liczy ich dwadzieścia osiem. Najstarszy brat słynie też ze swojego pracoholizmu i wiecznie napiętego grafiku. Will wypowiadał się o nim jednak z szacunkiem, zaznaczając, że Vincent odwala kawał dobrej roboty jako główny zarządca rodzinnych interesów, które był zmuszony przejąć w młodym wieku. Potwierdził też, że całą piątką mieszkają w ich rodzinnej willi, a młodsi chłopcy jeszcze się uczą.

Jechaliśmy rzeczywiście ponad dwie godziny i przez zdecydowanie większą część drogi po prostu milczeliśmy. Moja wina, bo byłam wyjątkowo mało rozmowna, a Will chyba nie chciał na mnie naciskać, za co w głębi ducha bardzo mu dziękowałam. W pewnym momencie nawet dyskretnie pogłośnił muzykę. Leciała składanka największych hitów Depeche Mode i choć sama nie znałam ich piosenek za dobrze, to dziwnym trafem zdały mi się idealnym podkładem pod moje pierwsze chwile w Stanach. Dużo gapiłam się w okno, rozmyślając. Do niedawna odwiedzenie Nowego Jorku było moim największym marzeniem. Teraz gdy patrzyłam na majaczące w oddali manhattańskie wieżowce, robiło mi się niedobrze. To nie tak, że nie chciałam tu być. Po prostu okoliczności się nie zgadzały.

Wkrótce zjechaliśmy z głównej drogi i zatrzymaliśmy się przed wielką bramą – bardzo wysoką i bardzo szeroką. Otworzyła się przed nami automatycznie, a potem jechaliśmy jeszcze kawałek dalej, aż zza drzew wyłonił się budynek.

Nawet nie dało się ocenić jego rozmiarów; mogłam jedynie powiedzieć, że zdawał się naprawdę duży. Drzewa rosnące na jego tyłach sprawiały wrażenie wielkiej złocistej fali tsunami, która zawisła za nim na wieki. Nie była to nowoczesna, świeżo wybudowana willa, raczej coś o wiele bardziej klimatycznego. Fasada budynku kolorem przypominała piasek na rajskiej plaży, strzelisty dach był zaś szary i w tak pochmurny dzień jak dziś niemal zlewał się z niebem. Podwórko było bardzo duże, ale oprócz tego nie robiło specjalnego wrażenia, przynajmniej nie od frontu. Ot, ładnie i równo ścięta trawa, którą w niektórych miejscach przyozdabiały krzewy lub kupki zgrabionych liści.

Will mrugnął do mnie z sympatią, gdy zgasił silnik.

– Witaj w domu.

Odpowiedziałam mu szybkim, zdenerwowanym uśmiechem. Will wysiadł, a ja zerknęłam przelotnie na swoje zwykłe czarne legginsy, takie z wielopaku, który mama dorwała dla mnie gdzieś w supermarkecie. Na granatową bluzę, która z kolei pochodziła z przeceny. Na ciemne włosy zebrane w luźny, długi i nieco wytargany po podróży warkocz. Co tu dużo mówić, czułam, że wyglądam jak mała zabiedzona dziewczynka i zupełnie nie pasuję do tego otoczenia.

A jeśli miałabym co do tego jeszcze jakieś wątpliwości, to rozwiał je widok wnętrza domu. Byłam kiedyś na klasowej wycieczce w muzeum, którego korytarze prezentowały się równie ekskluzywnie, i w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że kiedyś zamieszkam w podobnie urządzonym miejscu.

Zapatrzyłam się na wielki obraz wiszący na jednej ze ścian. Do namalowania go użyto chyba całej palety kolorów, ale wszystkie one były dziwnie wyblakłe. Dodawało to upiorności malunkowi mężczyzny, którego przystojna twarz widniała na pierwszym planie. Tuż za nim zaś czaiła się okropna kolorowa zmora, tak przerażająca, że gdy Will musnął moje ramię, bym poszła za nim, z ulgą odwróciłam od niej wzrok.

Na prawo znajdowało się przejście ze sklepieniem w kształcie łuku, prowadzące do kuchni, która lśniła czystością i świeżością. Moją uwagę natychmiast przykuł chłopak, który zajmował jedno z krzeseł. Wystarczyło szybkie spojrzenie i już wiedziałam, że to mój kolejny brat.

– Hailie, to Dylan. Dylan… to nasza siostra Hailie – przedstawił nas Will i odsunął dla mnie siedzenie, które z grzeczności zajęłam, choć gdyby to ode mnie zależało, wybrałabym inne miejsce niż to naprzeciwko Dylana, który zerknął na mnie znad laptopa i przez kilka długich sekund badał wzrokiem. Spodziewałam się, że chociaż uściśniemy sobie dłoń na powitanie, ale jemu nie śpieszyło się do inicjowania takich gestów.

Zaczęłam rozglądać się po pomieszczeniu, byle uciec przed siłą jego oczu. Przy okazji zwróciłam uwagę na kilka rzeczy, jak ogromna dwudrzwiowa lodówka, która w moim starym mieszkaniu zajęłaby jedną trzecią powierzchni kuchni. Na blacie w rogu ustawiono nowoczesny ekspres do kawy z miliardem przycisków i pokręteł, a tuż obok niego kolejne wymyślne urządzenie, które wyglądało jak zmodyfikowana sokowirówka. Will stanął teraz przy mikrofalówce, która pracowała cicho, i skupił się na chwilę na swoim telefonie, wystukując coś energicznie na klawiaturze.

Gdy po chwili znowu ostrożnie zerknęłam na Dylana, ten na powrót wpatrywał się w ekran komputera, a na jego ustach błądził cień złośliwego uśmiechu. Przeniosłam wzrok na wielkie okno, za którym widoczny był zielony, równo skoszony trawnik.

– Nasza gosposia nie pracuje w niedziele, ale przygotowała to wczoraj specjalnie dla ciebie. Jeśli nie będzie ci smakowało, to śmiało mi powiedz. Zawsze możemy coś zamówić. Cokolwiek tylko będziesz chciała – oznajmił Will, gdy po chwili stawiał przede mną parujący talerz smacznie wyglądającej potrawy z zapiekanym makaronem. Jak tylko przetrawiłam wzmiankę o pomocy domowej, złapałam za widelec.

Czułam się zestresowana, jedząc tak sama, w obcym miejscu, obserwowana przez obcych ludzi, dlatego szło mi to bardzo powoli. Żałowałam, że mój przełyk jest ściśnięty z nerwów i nie mogę się prawdziwie cieszyć smakiem obłędnego posiłku. Zdołałam jedynie poparzyć sobie język.

– Pokażę ci twoją sypialnię, dobrze? – zaproponował Will, gdy odłożyłam widelec.

Mimo szczerych chęci nie udało mi się pochłonąć wszystkiego, co miałam na talerzu, bo naprawdę doświadczałam trudności z przełykaniem, a zaserwowana mi porcja była przesadnie ogromna. Na szczęście Will się nie obraził. Wstając, złapałam naczynie, by po sobie posprzątać, a on natychmiast je ode mnie odebrał, prosząc, bym się nie kłopotała. Wydawał się jednak zadowolony z mojej postawy. To dobrze, bo naprawdę zależało mi na zrobieniu jak najlepszego wrażenia.

– Dylan jest trudny, ale w ogóle się nim nie przejmuj. Potrzebuje chwili, żeby oswoić się z sytuacją. Wiesz, dla nas też jest ona zupełnie nowa.

Pokiwałam głową, starając się wykazać odpowiednią ilością empatii. Will chyba to docenił, bo kąciki jego ust uniosły się wyżej, po czym wskazał za moje plecy.

– Tam, zaraz na prawo, jest salon. Dużo tam przesiadujemy. A jak pójdziesz prosto, znajdziesz łazienkę i bibliotekę. Lubisz czytać?

– Uwielbiam.

Po raz pierwszy tego dnia udało mi się zabrzmieć głośno i pewnie. Czytanie było moją prawdziwą pasją, a jako największa książkara świata uznawałam posiadanie w domu osobnego pomieszczenia na książki za spełnienie najśmielszych marzeń.

– W takim razie świetnie się składa. Mamy całkiem pokaźne zbiory, może wkrótce je uzupełnisz? Nie krępuj się, zaglądaj tam, gdy tylko najdzie cię ochota. – Will gestem wskazał na ciągnący się korytarz. – Dalej dotrzesz do siłowni. Mamy tam też saunę i kolejną łazienkę. To wszystko też jest do twojej dyspozycji. Z siłowni i salonu można wyjść na taras – kontynuował Will. – Jest tam basen, ale niestety został już zabezpieczony na zimę.

Nawet gdybym chciała to jakoś skomentować, to nie wiedziałabym jak. Milczałam więc.

– Tutaj, na piętrze, wszyscy mamy swoje sypialnie. Na końcu są pokoje gościnne – wyjaśnił mi mój przewodnik, gdy stanęliśmy u szczytu schodów. – Korytarz z prawej prowadzi do innej części domu. Tam pracujemy, więc najlepiej by było, żebyś go omijała, dobrze? Często przyjmujemy klientów, potrzebujemy ciszy i nikt nie powinien się tam kręcić. – Błękitne oczy Willa błysnęły intensywnie.

Następnie dotarliśmy do przydzielonej mi sypialni. Po drodze mijaliśmy rzędy drzwi, które odróżniały się od siebie tylko tym, że mniej więcej na wysokości twarzy mojego wyższego ode mnie przynajmniej o głowę brata przymocowane były literki, które, jak wytłumaczył mi Will, były pierwszymi literami imion lokatorów. Aż zadrżałam na widok tych oznaczonych dużym srebrnym „H”.

– To twój pokój. Zapraszam.

1. Napisz plan opowiadania.
2. Dlaczego bohaterka opowiadania uważa, że nie pasuje do świata, w którym się znalazła?